

JAKUB ŘEHÁK

PUŁAPKA NA BRIGITĘ

WYDAWNICTWO J, WROCŁAW 2025

Wymarła księga

1.

kleiłam się do twarzy
w bezbarwną zimową noc
pełną śniegu za rannymi płotami
wzdłuż których gnał poranny mróz
z rozświeconymi oknami
ciosami w płuca
na korytarzach z ciałami
ruch w oślepiającej ciemnej osłonce
zesłanej na tę śpiącą krainę

widziałam pocięte jabłka
sparciałe śnieżne ramiona
wodę w rynnach
psie budy doświetlone świtem
stadko gdaczących kur

co jeszcze widziałas

klatkę schodową pełną śniegu
z ust leciał
ciekły azot i chuchał na szyby
hali dworcowej
światlny mocz parujący z latarni ulicznych
piął się na obnażone niebo nad miastem

co jeszcze widziałaś

brzask wysokich pieców
cmentarze przesiewające trawiastą ciemność
białymi głosami
miejsce gdzie zaczynają się łokcie
i bąbelki mrozu na dnie koszuli
historia która sili się na wspinaczkę
za pełną zimową groblę

2.

wskazałaś miejsce w szafie
byłem tam po raz pierwszy czytałem cię trzymałem w dłoni
chowałem w kieszeni płaszcza
trwało zaledwie chwilę
i już zamieniłaś się w zwykłą
listę słów

kiedy cię mijaliśmy
śnieg stawał ogniem
oddech uciekał z kieszeni

ziarniste światło porannej latarni
głoska marznąca przed lądowaniem na ziemi
dworcowy ogień w zębach
to jeszcze nie jest odpowiedź
wymarła księgo

rozmawiałaś z szybą okienną
uczyłaś się matowych błysków światła
na ząbkowanej płycie stołu

co jeszcze widziałaś pytał pociąg
o piątej rano
a ty milczałaś
na szemrzących kolanach
pod połami wilgotnych kurtek
po wagonie rozlewał się
stęchły zapach
pieca naftowego
unosił się jak mętna żółta woda
pełna oleju ku zaryglowanym nosom
kabina z zakurzonymi siedzeniami
po chwili pełna lepkiego uczucia

głowa złożona do snu
ze sklejonymi oczami
nie miała pojęcia o niczym
zakryta gazetą

wszystko to trwało
zaledwie chwilę
wymarła księgo

cień wisiał na gałęziach ze ścieru drzewnego
przestrzeń zalewała szemrzące litery

Z Maxa Blechera

całe miasto z wszystkimi domami
i nieruchomymi drzewami
z psami śmietniskami i kurzem

bielsze niebo nad wejściem do sklepiku
czysty fluid

drobniutkie szpikulce pluszu
zanurzałem twarz
głębiej i głębiej
z płytą gramofonową w dłoni
z anemicznym uśmiechem

tak dalece niematerialny ledwie zaledwie jasna plama w mroku

czas gęstniał
kurz pochłonał wszystkie śliny
róg biblioteczki pełnej ciężkich tomów za szybą
skórę samą dziurę
rozkoszne zawrotne omdlenie

nagłe słońce
w spoufalonym pokoju

w jakiej pozycji
w jakim łóżku

w którym pokoju

żyrandol z brązu pośrodku

maszyny do szycia w trzech rzędach

kto mnie obudzi?

W języku Sewan

powiem ci Brigito

facet ostrzył nóż

na chodniku tam przy Andělu

może Rosjanin albo Bułgar

ale ty patrzyłaś na mnie

inaczej niż wcześniej

to chyba ta wilcza jagoda

o szeroko ormiańskich oczach

to chyba przemawiał przez ciebie

narkotyk Ararat

niech błyszczą Bałkany

zaczyna się nowe Bizancjum

jaka nadeszła epoka?

nie wiem

świat nie kręci się w moich rękach

przez tramwaj gnała wódka

a ty stałaś bliżej świtu

i byłaś asfaltowo gorąca
krzyk w przejściach już od dawna
nie szoruje cienia ktoś to rozmawiał
w podziemnym barze
z rojem Azjatów na skrzynkach
po jogurtach?
powiem ci Brigito
Mesjasz

ale ty jesteś dymem
wołaniem petard
Brigito
księżniczko dworcowych koszy
śpiewasz w języku Sewan
a za parawanem
już czeka tłum zakulisowych
obciągających mężczyzn
ty opowiadasz
jak cię ścięli
we śnie
a ja cię rozumiem

Pułapka na Brigitę

głosy polegają na niedzielnym kocu
łaskoczą miasto po brzuchu
nie widzę z okna nic poza piętrami książek
nic poza zagubionymi strzępkami papieru
w tym momencie siadam przy stole i tak tylko się gapię
całymi godzinami
później zasypiam
jestem pełen snu
nikt nie ma więcej snu niż ja

znam ten dom naprzeciwko
dom przy placu Petřském náměstí
dom z wieloma zamkami i frontowymi drzwiami
dom z ruchomą fasadą
przywieźli go z Rosji
okna na parterze dotykają czoła
potajemnie przemykamy po pokojach
błądzimy między niezasłanymi łózkami
pleśń wrasta w każdy nasz ruch
nasz sekretny pościelowy zamek

pająki opuszczają się na niciach

w otwarte usta

kos śpiewa pod podłogą

złapałem cię na dźwięk

Brigito

zapamiętaj to sobie na dźwięk drewna i metalu

mysi dźwięk

za zamkniętymi oknami kilka dni padało

nikt nie odpowiadał

nogawki zalatywały herbatą

czarnym pyłkiem

z oczu leciały mi drobinki skóry

cienie pod oczami

zasypiam ale na klatce schodowej nic się nie dzieje

tylko brzęk miedzianych judaszy

uderzenia chroboczących zamków

duchota

sąsiedzi lokatorzy wstają dziwią się

ani jedna stopa przez lata nie wzburzyła schodów

teraz tu jesteśmy

życie to więcej niż powietrze
mówisz mi ze sprzączką na udzie
ze sprzączką która tak bardzo mi się podoba
później budzisz się wśród ścian
które mają kolor i posmak żółknącego sera

już gna wieczór

Brigito

granice mury i miasta

miasta i mury

cień spódnicy

nie daje odpowiedzi

szelest papierowej torebki

ze zmarszczoną rysą

nie daje odpowiedzi

nie masz nic do stracenia

Brigito

już to rozumiałaś

w przyszłym życiu będziesz roznosić pocztę

aż do dworca Praha-Smíchov

rajstopy w brązowe prążki
z upływem lat zmienia się
w czarną siateczkę w czarne kraty
twoje wargi odcisną się na szybie
w kuchni o piątej nad ranem

słyszysz to
jak dymi wzdłuż wybrzeża
słyszysz to
samochody odwożą ranne ciała
ukryte w piwnicach na węgiel
parę osób spieszy w stronę barykad
z Rudolfinum niesie się dym
dokąd biegniesz?
nie chcesz tego widzieć
nie masz nic do stracenia
już to rozumiałaś
jedyne czego pragnę to
wsadzić ci palec w tyłek
żebyś mogła przez niego patrzeć

czujesz to Brigito?

przykrywa cię gorący chodnik
wchodzisz w krzaki i układasz się na ziemi
wilgotny ciężki zapach na wybrzeżu
gnijące kawałki drewna zwalone do wody
nieopodal mostu kolejowego na Výtoni
dróżki szczurzych gniazd
zaspasy przywianego piasku wzdłuż podciągniętych spódnic
układasz się na ziemi
zdejmujesz sukienkę a potem to się dzieje

czujesz że czas się przelewa
jest jak wielka kieszeń wody
nabiera ciała
możesz złapać go dłonią
albo schwytać ustami
gwizd przenika przez zaciśnięte palce
naga skóra czerwona wewnątrz
ściany palce strzępki skóry
mika paznokci w ścianie jak na dłoni
dźwięk bosych stóp albo ruch
zmęczonych rąk
wbitych klinem w cudzą dłoń

tylko mgnienie

i miękkie przestrzenie

w ciepłe ciała

w zakątkach materiału

biorą górę

co to jest

znak ostrzegawczy

dom z wieloma zamkami i frontowymi drzwiami

dom z ruchomą fasadą

dobrze cię słyszałem

szeleścisz Brigito

w masce kołatka

figurki po wewnętrznej stronie powiek

zamykają oczy a ty pożyczasz im jedyny dźwięk

do którego są zdolne

później obgryzałaś jabłko w cudzych ustach

w twoim nosie mieszkał świerszcz

antenę szczebiotały na strychach

dzień się zdzierał z popraskanych ścian

złapałem cię na dźwięk

dźwięk drewna i metalu

mysi dźwięk

pułapka zapadła

śpiewałem pod podłogą

I. Na Libni urodziło się światło

Znów iść po nabrzeżu, znam to to, ale to już nie ja, pięta zapada się w piachu,
ale nie należy już do mnie, a co do mnie należy? Czyżbym nie miał prawa do dotyku
światła?

Wydęty konfesjonał poranka, ciało wie i poszukuje, rozpoznaje ciąg pod powietrzną
mogiłą,

gdzie w niebieskiej erupcji cucą się tramwajowe pary, gdzie lemoniady pienią się na
wiatr,

gdzie pracują dźwignie przekładni miasta.

Nie wszedłem do śpiącego metra, nadal w nim podrzemywałem.

Widziałem potężne cynowe pazury nieznanej zajezdni
z głową miłosiernie ściśniętą gorsetem stroju,
aluminium Zličína dzwoniło mi w głowie.

W obliczu nadchodzącej wiosny coraz więcej z nas pragnęło być z drewna.

Przechodziliśmy przez zapachy za zburzonymi domami, korzenie i irygatory wybuchały
nieopodal,

nie powinno nas być, ale byliśmy, coraz bardziej interesowały nas
kłopoty sukien i zatęchłe nauki o ich ściąganiu.

Prześladowali mnie aż do tego pudełka, a ja przeklinałem ich papierowo.

Półmrok gratis i sprzedajne szklanki, renklody okrągłe i wrażliwe jak sam tyłek,
stłoczona kobieca góra.

A dokąd płynie uśmiech z kuchni? Delikatnie musnęłaś mnie rdzewiejącym tonem,
a dolne mięso ciągnęło w stronę maślanego zlewu. Tymczasem planeta kamieniała.

Co to za omdlałe ciało leży w późnych łuskach?

Co rozumiem przez gwiazdę cudzołóstwa?

W lecie wspina się po włochatej nodze z gębą rozciętą od ucha do ucha,

ze strasznie niebieską przemocą przypominającą piętra ciał na

huśtawce, jak ciała wrzucone do ogrodowych szop.

Chwile, kiedy słono i na darmo łykam, kiedy rękami skrobię rury, przez które
przewalają się jabłka

miasta. Przyjdzie lato? A kto pyta?

Lato pachnie wystawionym zgniłym mięsem, domkami, w których skóra chce być
naga,

olbrzymia konewka lata, ja jednak spędzałem czas w pożytecznych wnętrznościach.

Byłaś z soli, twoje stopy pełne jeleniego łoju, przeszkłone oczy i suknie, za które
dałoby się wspaniale pociągać,

łuna domków i metalowo zimne kurki nucące

w letnich głębinach, oddech nie mieścił

gazetowego piękna jedyne go dnia.

Jest niedziela. Posrebrzana głowa. Miasto wspaniały katafalk wpływa do zaśnieżonego holu i zasypia,

wszystkiego było za dużo, zbyt wiele dzienników, opowieści, zapchanych papierów, bazgrołów z komputera.

Kto w tobie zasypia, kto trzyma na sznurku ból chorego zęba,

kiedy do płuc powoli leci mokry śnieg.

Niedziela jeszcze, ale wkrótce poniedziałek wbije swoje dłuta.

Znów iść po nabrzeżu. W strużkach deszczu, glinie świeżych ścian. Z zakotwiczonym mydłem parowców.

Twój pokój wilgotna mapa. Światło ślizga się od kuchni, znika daleko za odłożonymi podwórzami,

gdzie wróble produkują cienie, gdzie ktoś płaczliwie ćwierka pod wycieraczką.

W tramwaju pęcznieje żółta wata, wszyscy ćwiczą dłonie na większe porcje ciepła.

Pospieszne cumują w szarych klinach. Gołębie co rok bardziej rozleniwione, aż piszczy.

Wypluwam sprośny metal na sprzedawcę miasta. Wyrzucony papieros syczy wśród nocy.

Biegacze olśnieni kurzem z rogów nadętych speców.

Wyczerpane gorącem wanny i windy, klatka schodowa zachłannie zmiatająca szary zamęt na najwyższe piętro. Na razie planeta ciążyła i kamieniała,

nic dla niej nie znaczyła dziewczyna z rozświetloną zupą,

nic kleks wszechświata, który spłynął akurat do gardła, planeta pozostawała obojętna.

Wydarzenia pisane pismem płonących ścierwic. Głowy odpoczywające w izolatkach podwórek

z wystawionymi szeregami śmietników. Ciało lituje się nad sobą i zmienia w obojętną masę.

Ulica zakurzonych ryb. Ulica brązowego potu.

Wiersz przychodzi do mnie już martwy. *Stwierdzić wiek piasku.*

Libeń w lichych siedliskach. Lepkość, wilgoć. Otwieranie porów.

Dziewczyny tłuką się od ściany do ściany, wybite chaty pełne rannego szlochu i blachy, strugi ciepłego masła na udach. Plecy lgną, a w krzyżu coś się rusza.

Obrona linieje. Powietrze płynie mi w rękawach.

Widzę niebieskie kaskady bloków w głębinach libeńskiego ciała.

Widzę puste ujeżdżalnie pełne opuszczonych policjantów.

Widzę, jak kawa świeci na ulicy pod Palmovką,

widzę wschód piwa,

weszliśmy do tych żółtych jelit i wytrzymaliśmy tam całą noc.

Miłość wybuchła na korytarzach. Kasy Oszczędności. Matowe terraria, mózgi, tyłki.

Podupadłem, ale nie mogłem zatrzymać omamów.

Zaczynała się wiosna. Libeń budziła się i rosła,

Libeń prosiła o głos

w przepoconym litinowym mózgu. Libeň przytomniała i parowała.

Na Libni urodziło się światło. Nam została tylko poranna porcelana.

Mocz brzęczący na mglistych głowach. Wiosna to wiaderko lawy.

W taflach wiosny i tłustych oparach witryn.

W koronach wyłysiałych drzew.

W dzikich jazdach tramwajów do krajów Zachodu.

Czasami migniesz mi w kapslu od piwa porzuconym w ostatniej trawie,

czasami cię nie czuję, nie czuję też siebie, podlegam tylko miejskim igraszkom.

Tymczasem wtrącałaś się do odsuniętych śpiących ogrodów.

Kochałem się od pierwszego wejrzenia, chciałem, żeby w kręgosłupie brzęczał mi
papieros.

Wkrocz w wiosnę, idź z tynkturami, niech Libeň wypełni się jodyną.

Już wiem, twoja spódnica jest z masła. Idziesz z dworca,

garną się do ciebie schody, mgła pada ci do stóp,

uczysz schody kochać, uczysz, jak zostać, uczysz, że w piwnicach budzi się cienka
czerwona rzeka,

uczysz się zapominać o szkle, uczysz żwir granulować i ściekać po rękach.

A tymczasem planeta kamieniała jak wtedy, kiedy

pozwalaliśmy późnym czereśniom kwaśnieć w trzewiach.

